

STRZEMIE W STRZEMIE Z GAUCZO

Tutaj nic nie ogranicza wolności, horyzont zdaje się nie istnieć, a pampa nie mieć granic. Bezkresna przestrzeń, najbliższy sąsiad oddalony o dziesiątki albo i setki kilometrów, odgłosy zrywającego się do lotu ptactwa, przeciągły i niski ryk krów, okrzyki pędzących z lassem przeganiaczy bydła, kryjące się w trawach sięgających pasa bogactwo flory i fauny, życie niezmiennie od setek lat. Taka właśnie jest pampa argentyńska, ten step Ameryki Południowej, kolebka kultury gauczów, argentyńskich „kowboi” oraz największe pastwisko świata.

Pampa w języku Indian Keczua znaczy „płaska”. I rzeczywiście nie ma lepszego słowa na określenie tego ogromnego, równinnego i trawiastego obszaru o powierzchni równej prawie trzech Polsk, położonego głównie na terenie Argentyny, i w niewielkiej części — Brazylii i Urugwaju. Od północy zanurzona jest w wilgotnym i gorącym klimacie podzwrotnikowym oraz okalają ją palmy, natomiast południowe tereny zimą pokrywają śniegi. Pampa smagana nieustannie przez wiatry, w większości jednak poddana jest klimatowi umiarkowanemu, który stwarza idealne warunki do hodowli bydła. To stąd pochodzą słynne na cały świat, najlepsze steki wołowe.

Jeśli ktoś pragnie poznać sztuk jeździecki gauczów, których umiejętności nie kończą się na byciu wspaniałymi jeźdźcami oraz na wprawnym władaniu lassem, ale łączą w sobie też fach ujeżdżacza, weterynarza, hodowcy, kowala czy rymarza, powinien się udać właśnie tam, na argentyńską pampę, na estancję, do jednej z wielkich posiadłości ziemskich, gdzie hektary ziemi i sztuki bydła liczy się w tysiącach. Podglądaczem takiego życia codziennego gauczów, które niewiele odbiega od tego jakim było sto lat temu, byłam dwukrotnie w Estancji „La Pelada” w prowincji Corrientes na północy Argentyny. To miejsce, którym opiekuje się zaprzyjaźniony Argentyńczyk — Dario, gaucho od pokoleń organizujący rajdy konne w całej Argentynie. To właśnie tam, w jego rodzinnej prowincji jest w stanie odsłonić, przed uczestnikami wypraw, największą częśćkę swojej duszy gaucza.

Rajd konny polega na kilkugodzinnych wypadach, zazwyczaj organizowanych dwa razy dziennie, krótszych lub dłuższych w zależności od kondycji i chęci uczestników. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby wybrać się na estancję samotnie, czy zabrać ze sobą całą rodzinę, poczynając od najmłodszych, dla bujnej wyobraźni dzieci to będzie podwójna przygoda. Umiejętności jeździeckie nie są istotne, kto potrafi jeździć puści się galopem przez pampę przy pierwszej najbliższej okazji i od razu doceni niezwykłą sprawność i zwrotność tych koni, przystosowanych do pracy przy bydle. Natomiast kto nie potrafi, ten się nauczy jeździć szybciej niż przypuszczał, argentyński styl jazdy i wspaniale ułożone konie, dużo wybaczą. Każdy dzień na estancji dostarcza nowych wrażeń, ale każdy też zaczyna się od wspólnego, powolnego śniadania. Gauczowie wyruszają do pracy o świcie, żeby uniknąć słońca w zenicie. Spragnieni jazdy konnej i niecierpliwi podróżni na próżno mogą szukać stajni, domem dla tych koni jest pampa. Czasami w ogrodach estancji pomiędzy palmami można napotkać pasące się luzem konie i niewykluczone, że pierwszym porannym widokiem z okna będzie właśnie koński łeb. To gauczowie zaganiają rozproszone po terenie konie, siodłają je, przygotowując dla gości estancji. Rajd konny po płaskiej i monotonnej pampie nie ma w sobie nic z nudy, wypełniony jest kilometrowymi galopami z wiatrem we włosach, wspólnym przeganianiem bydła wraz z gauczami, obserwacją ich zmagania z krowami podczas szczepień, znakowania, kąpieli czy obcinaniu rogów, nauką rzucania lassem, czy podstaw gry w polo na estancji. W trakcie tych konnych wycieczek na uczestników czekają liczne niespodzianki, jak jazda pośród gwiazd — tych nad głowami i tych równie licznych, latających wokół, zwanych świetlikami, czy na przykład obiad po środku pampy, gdzie w cieniu, jedyne na horyzoncie

drzewa, odnajduje się nagle nakryty obrusem stół z kieliszkami i talerzami oraz — twórców tej niespodzianki — grupę gauczów rozpalających ognisko na pieczeń.

Kultura mieszkańców Corrientes została ukształtowana przez Indian Guaraní, jezuickich misjonarzy i europejskich imigrantów. Estancje są takimi pokolonialnymi pozostałościami, ciągle oszalałymi europejską, XIX-wieczną architekturą, a przebywając w nich można się poczuć istic wielkopańsko. Gość takiej estancji codziennie rano budzi się w potężnym, rzeźbionym drewnianym łożu, zasiada do suto zastawionego stołu i jest obsługiwany przez ciche dziewczęta o indiańskich rysach. Jednak atmosfera jest bardzo luźna i życzliwa. Razem z Dario zwiedziłam kilka okolicznych, zazwyczaj oddalonych o jeden dzień jazdy na koniach estancji, z których każda zdawała się być scenerią przygotowaną do kostiumowego filmu albo gotową inspiracją dla pisarza egzotycznych powieści, osadzonych w początkach ubiegłego wieku. Splendor tych posiadłości, choć może czasem już trochę przykurzony, kontrastuje z ubogimi domkami okolicznych mieszkańców - pracowników na tychże estancjach. Jednak Dario, oferując uczestnikom swoich wypraw konnych autentyczne spotkania z kulturą gauczo, zabrał mnie też do jednego z tych niepozornych, małych bielonych domków, gdzie wieczorami, po ciężkim dniu pracy na pampie rozbrzmiewa wygrywana na gitarach wesoła muzyka i płonie radosny ogień, nad którym gauczo szykują *asado*, argentyńskiego grilla, a między jedną a drugą piosenką, zagryzają mięso mięsem. Polski pisarz, Witold Gombrowicz, który spędził 25 lat w Argentynie, tak poniekąd humorystycznie, a poniekąd z niedowierzaniem, opisywał ten jeden z bardziej mięsożernych narodów świata:

„Lubię befszyk z kartofelkami i z jarzynką na talerzu...ale to pożeranie ochłapów z chlebem. I... za dużo! Argentyńczyk jest potwornie mięsożerny. [...] Mięso! Nic, tylko mięso! Rozpacz! Mięso jada się tutaj w południe i wieczór, potrawa bez mięsa to dla nich nie jest jedzenie. Argentyńczyk zaczyna obiad od rozmaitych wędlin, które pożera z chlebem, potem wcina befszyk usmażony na oliwie potem nieraz wsadzi w siebie jeszcze ozór lub flaki, a na zakończenie zażąda kompotu z puszki – z pogardą i tylko dlatego, że kompotów z mięsa nie wymyślono.”

Prawda jest taka, że raczej niż ten kompot, wypije „kompot” z winogron, wino — kolejny nieodłączony element kultury argentyńskiej, który towarzyszy też życiu na estancji. Jednak żadna to „rozpacz” żyć się w Argentynie, a też nie tylko mięso królowało na stole, podczas mojego pobytu w Corrientes, w kuchni — jak i w rysach twarzy Argentyńczyków — mieszają się różne wpływy europejskie. I tak, kiedy gauczowie przeganiają bydło przez bezkres pampy, ich żony i siostry w kuchni wałkują tylko sobie znane tematy, ale przede wszystkim przewalają przez starą, włoską maszynkę ręcznie robiony makaron, czy lepią włoskie gnocchi.

Natomiast ich dzieci siedzą wtedy, w szkolnych ławkach, na lekcji jedyne go nauczyciela i w jedynej szkole na przestrzeni dziesiątków kilometrów. Nie ma ich kto do niej odprowadzić, czy też zawieźć, ponieważ ich środkiem transportu jest koń, tak samo jak jest on źródłem utrzymania i narzędziem pracy dla ich ojców. Młodzi Argentyńczycy każdego ranka zakładają plecaki w kwiatki lub samochodziki, jakie noszą dzieci na całym świecie i wskakują na konie. Te najmłodsze dzieci obejmuje starsza siostra, czy brat i we dwójkę ruszają do szkoły. Nauczyciel pomaga im rozsiadłać wierzchowce i gdy dzieci trują się z tabliczką mnożenia czy alfabetem, ich konie luzem pasą się na pampie otaczającej szkołę. Natomiast, jeśli wierzchowce się zbyt oddalą, to nauczyciel zagoni całe stado, dosiadając najbliżej złapanego konia. Pomaga też niektórym dzieciom w osiedlaniu rumaków, gdyż wiele z nich nawet na czubkach palców nie dosięgnie wysokości, z

której mogłoby sprawnie zarzucić ogłowie, a łydki tych najmłodszych nie sięgają jeszcze poza siodło, więc za pomocą bata poganiają swojego wierzchowca i galopem puszczają się do domu. Wydaje się, że tutaj dzieci naprawdę rodzą się w siodle.

Życie gauczów i ich rodzin płynie w rytm chodu konia, natury i typowej muzyki wywodzącej się z tamtego regionu — *chamamé*, co z języka guarani znaczy „w deszczu z moją duszą”. Prowincja Corrientes, należąca do większego obszaru, zwanego nie bez powodu Argentyńską Mezopotamią, rozpościera się między dorzeczem dwóch rzek: Urugwaju na wschodzie oraz Parany na północnym wschodzie. Estancje, które odwiedziłam położone są na wybrzeżu rzeki Corriente, dopływie Parany, którą czasami gauczowie pokonują kilka razy dziennie, żeby dostać się do terenów położonych po drugiej stronie brzegu. Wpław. Na koniach. Często za sobą ciągnąc całą resztę stada. Wierzchowce są świetnymi pływakami, o czym mogłam się przekonać na własnej skórze, w kostiumie kąpielowym na ich grzbietach. Innym razem na piaszczystą plażę nad rzeką przybyliśmy, żeby konno ścigać się w cieniu zachodzącego słońca. Jeszcze innego dnia wybraliśmy się w podmokły obszar pampy, usiany wodnymi rozlewiskami, trzymając nogi na grzywach koni, kiedy zanurzały się prawie po szyję w wodzie pokrytej ogromnymi liliami wodnymi, hiacyntami, sitowcami i nenufarami. Krajobraz iście bajkowy dopełniają palmy oraz dzwięczne, kolorowe i bardzo liczne ptactwo. Estancje są oazami pełnymi egzotycznych drzew, obfitującymi w pomarańcze i awokado wielkości głowy zrywane na śniadanie. Wieczorem wypełzają na łowy ropuchy, które czekają nieruchomo pod ścianami na swoje ofiary — muchy i inne insekty. Są tak ogromne — nie wiem, czy ze względu na gatunek, czy na dostatek pożywienia — że chyba pocałunek musiałby przemienić je nie w księżęta, a w królów. Jednak w Corrientes, jak w każdej bajce musi też pojawiać się jakiś zły charakter i w oddali w niektórych oczkach wodnych można dostrzec wystające, czujne oczy kajmanów, a czasami ich wodną szamotaninę ze swoją zdobyczą, czy wijące się po ziemi węże. Trzeba być czujnym lub polegać na wyostrzonych zmysłach koni, które alarmują wystarczająco wcześniej o niebezpieczeństwie. Konie kreolskie są bardzo dzielne i niczego się nie bojąc, nie płoszą się. Rumaki te są też czujne i inteligentne, można więc być spokojnym, nie wejść do wody, gdzie czyha drapieżnik. Człowiek to mimo wszystko też drapieżnik i któregoś popołudnia właściciel estancji zabrał nas swoją łódką na dość nietypowy połów — na piranie. Zarzucając wędki z haczykami, pełnymi resztek steków z kolacji z poprzedniego dnia, wyciągaliśmy raz za razem ryby szczerzące zęby, na które wieczorem, gdy wylądowały na argentyńskim ruszcie, to już my szczerzyliśmy głodne zęby.

Corrientes jest celem wypraw wielu wędkarzy, ale także myśliwych. Pośród wysokich i kołyszących się traw pampy kryje się wiele pięknych zwierząt, takich jak: oceloty, inaczej zwane kotami pampasowymi, szare lisy czy różne zwierzęta z rodziny jeleniowatych. Nadal to region rzadko kojarzony z turystyką konną i może dlatego, między innymi, rajd konny w tamtej okolicy staje się autentycznym przeżyciem. Jako turystka polowałam na te wszystkie zwierzęta jedynie wzrokiem lub aparatem. Oprócz przemykających szybciej od wiatru strusi nandu, moimi ulubieńcami stały się także niepowtarzalne i dziwne stworzenia — kapibary. Te roślinożerne, wodno-łądowe ssaki, będące największymi żyjącymi na świecie gryzoniami, osiągającymi nawet 70 kilogramów, występują tylko na ograniczonym obszarze Ameryki Południowej. To zwierzę, plasujące się gdzieś pomiędzy włochatym muminkiem a prehistorycznym gryzoniem, ma w sobie dużo uroku, szczególnie rozczulająco prezentują się całe rodziny z młodymi osobnikami w gromadzie. Gauczowie tłumaczyli mi, że w stanie naturalnym kapibary znajdują się pod ochroną, choć pewnie nie wszędzie tak jest, ponieważ należą one do dość rozpowszechnionego gatunku na tym obszarze. Poza tym istnieje wiele hodowli tych zwierząt w celu pozyskiwania ich cennej skóry i mięsa. Choć podobno smakuje ono jak rybie, jakby nabierało smaku od ilości czasu spędzonego

przez te ssaki w wodzie i na błotnistych terenach. Nie próbowałam i nie wiem ile w tym prawdy, ale miałam okazję podziwiać przepiękne wyroby skórzane z tej delikatnej, lekko zamszowej, nakrapianej skóry.

Zresztą wszelkie rękodzielniczo wykonane elementy stroju gauczów i rzędu końskiego — skórzane, miedziane, metalowe, inkrustowane, wytłaczane, rzeźbione, malowane, przesywane — zasługują na uwagę. Każdy detal siodła, ostrogi, lassa, noże, bat zwany „ogonem jaszczurki” — krótki i zakończony dłuższym biczem — skórzane i posrebrzane pasy, specjalne ochraniacze na nogi i biodra, strzemiona, ogłowia są wykonane ręcznie. W tej kulturze nic nie jest opatrzone metką „made in China”. Gauczo nawet, pracując w tumanach unoszącego się spod kopyt kurzu jest elegancki, zawsze w koszuli, z apaszką, kapeluszem czy beretką — nieodłącznym nakryciem głowy chroniącym przed słońcem. Ta jego dbałość o ubiór jest dumnym wyrazem pielęgnowania tradycji. Ich stroje i atrybuty, jedyne w swoim rodzaju, czerpiące z różnych tradycji: hiszpańskich, przede wszystkim andaluzyjskich (koszule, kapelusze), europejskich (francuska beretka), indiańskich (*boleadores* — arkan z kulkami do chwytania zwierząt), a nawet tureckich (szerokie spodnie *bombachas*) zdają się współgrać ze stonowaną kolorystką pampy oraz różnorodnym umaszczeniem kreolskich koni. Każdy region Argentyny może się poszczycić swoim tradycyjnym strojem. Gauczo z Corrientes można rozpoznać nie tylko po charakterystycznym akcencie, ale też po espadrylach (*alpargatas*) i kolorowych, płóciennych czapsach (*polainas*), które w upalnym klimacie i w obliczu licznych rzek, czy na podmokłych terenach, sprawdzają się lepiej niż ciężkie buty ze skóry.

Kultywacja tradycji, przez gauczów, wyraża się nie tylko na materialnym poziomie. Gauczo nigdy nie zapomni o przerwie na rytuał dzielenia się, pitej ze wspólnego naczynka, „mate” będącej rodzajem herbaty z ostrokrzewu paragwajskiego, którego największe plantacje znajdują się zresztą na północ od Corrientes. Życie każdego Gauczo nie mogłoby obejść się bez muzyki i wspólnej biesiady; są dumni ze swojej przeszłości i kultury. Kiedyś pomyślałam sobie, że gauczowie są jak kreolskie konie: silni, wytrwali, bardzo odważni, a jednocześnie łagodni i posłuszeni, ale jednego nie można im odebrać — wolności. *Sapucay* to charakterystyczny okrzyk gauczów z Corrientes, wyrażający szczęście, często też przewijający się w piosenkach *chamamé*. Nie jest prosto nauczyć się tego przeciągłego okrzyku, a jeśli ktokolwiek chciałby spróbować wykrzyknąć prawdziwe „sapucay” musi sam poczuć, czym jest życie gauczów i czym wolność, niczym pampa, nie posiadająca granic. Dopiero wtedy będzie potrafił wydobyć z siebie ten okrzyk, pochodzący wprost z głębi serca. Naturę i kulturę gauczo można starać się oddać w tekstach i na zdjęciach, ale tego okrzyku już nie da się opisać, ani sfotografować. Dla tej chwili szczęścia warto odwiedzić Corrientes.

Julia Kempa